

Ks. Tadeusz Wolak

**NASZ KRAJ OJCZYSTY
W LATACH 1947 - 1958
zwyczaje i obyczaje
na nowosądeckiej ziemi**

Tarnów 2015

Ażeby moja praca była więcej wiarygodna,
podczas pisania tej książki konsultowałem się
z Kolegami i Koleżankami
z dawnej klasy VII „a” i VII „b” z roku 1954

ISBN: 978-83-7631-618-5

Wydawca:

**MAŁA POLIGRAFIA
WSD REDEMPTORYSTÓW
33-170 Tuchów, ul. Wysoka 1**

Inspiracją napisania poniższej książki było spotkanie 22 listopada 2014 roku w Łososinie Dolnej, Diamentowych Jubilatów, którzy 60 lat temu tj. w roku 1954 ukończyli siódmą klasę „a” i „b” Szkoły Podstawowej w Jakubkowicach (obecnie: Łososina Dolna).

Na program powyższego spotkania złożyły się:

1) Msza święta w miejscowym kościele parafialnym św. Piotra i Pawła, na podziękowanie Bogu w tajemnicy Opatrzności i Matce Najświętszej za otrzymane łaski z prośbą o dalsze.

Podczas Eucharystii, Jubilaci na czele z księdzem Tadeuszem Wolak i siostrą zakonną Heleną Jaśkiewicz, także modlili się za Zmarłych Nauczycieli, Kolegów, Koleżanek i Rodziców.

2) Koleżeńskie spotkanie przy podwieczorku, w miejscowej Szkole, gdzie gospodarzem był dyrektor Zespołu Szkół Podstawowo- Gimnazjalnych mgr inż. Zbigniew Rusnak.

Udała się jubileuszowa impreza, bo przybyło 33 osób z różnych stron kraju.

Podaję dla informacji, że w roku 1954, ukończyło kl. VII „a” i kl. VII „b”- 53 uczniów i uczennic. Z tego zmarło 10 - ro.

Po uświadomieniu sobie, że jesteśmy Diamentowymi Jubilatami, nie mogłem oprzeć się głębokiej zadumie i refleksji nad przemijaniem naszej młodości i życia doczesnego na tej ziemi. Dlatego nic dziwnego, że po spotkaniu z Koleżankami i Kolegami, będąc pod wpływem bujnej „młodzieńczej” fantazji, która mi została z dawnych lat, doznałem impulsu do napisania jubileuszowej pracy.

W jubileuszowej zadumie, trzeba spojrzeć na odwieczny zegar dziejów, który bezlitośnie od wieków wybija sekundy, minuty, godziny, lata. Niedawno ten tajemniczy zegar wybił nam Diamentowym Jubilatом rok 2014, potem 2015 i dalej będzie wybijał następne lata przypominając, że przeszły do wieczności nasze lata dziecinne, młodości, lata studiów i pracy na różnych stanowiskach.

Z racji Diamentowego Jubileuszu potrzebna jest głęboka refleksja oraz kontemplacja nad sensem naszego przemijającego życia oraz nad celem doczesnej egzystencji, zwłaszcza obecnie, kiedy uwidacznia się wyścig konsumpcji, niezdrowa żądza sensacji przy równoczesnym upodleniu człowieka oraz wynaturzeniu w różnych dziedzinach życia. Każdy z nas widzi, że dzisiejszy człowiek jest zagubiony w labiryncie tysięcy spraw i problemów oraz wciąż narzeka na brak czasu. Tego czasu nie mają dla siebie małżonkowie, rodzice dla dzieci, dzieci dla rodziców. Ale też niestety najmniej czasu ma człowiek dla Boga.

Zagonionym ludziom nie mającym dla nikogo czasu nawet dla Boga, trzeba powiedzieć, że świat nigdy nie wygrał z czasem. Zawsze przegrywał, bo światem rządzi Bóg – Stwórca i Opiekun świata duchowego i materialnego.

Całe nasze życie ma wymiar eschatologiczny. Choć w dowodzie osobistym mamy zapisane „na pobyt stały”, to jednak jesteśmy wędrowcami w drodze.

W 1715 r. we Francji zmarł potężny król francuski Ludwik XIV. Rządził on długo bo 72 lata. Gdy został wybrany królem, miał 5 lat. W czasie niepełnoletności krajem rządził minister kardynał Mazanin. Wtedy państwo było

silne mające silną armię i flotę. Ale umarł król jak wszyscy inni.

Kaznodzieja na pogrzebie powiedział: „Każdy człowiek przemija, tylko Bóg jest wieczny” 1).

Trzeba rozumnie i roztropnie gospodarzyć czasem życia. Jak różnie można wykorzystać czas, widać to najlepiej na przykładzie dwóch łotrów na krzyżu. Jednakowy mieli czas konania na krzyżu. Jeden wykorzystał go na nawrócenie, a drugi ten sam czas zmarnował. Wykorzystał go na bluźnierstwa.

Póki Bóg daje nam czas, chwalmy Go na wieki, dziękujmy Mu za wszystko czym nas obdarza i przepraszajmy Go za wszelkie niedociągnięcia.

Przytoczę wypowiedź Koheleta mieszczącą się w Piśmie Świętym Starego Testamentu na temat czasu danego nam przez Stwórcę: „Wszystko ma swój czas i jest wyznaczona godzina na wszystkie sprawy pod niebem. Jest czas rodzenia i czas umierania, czas sadzenia i czas wrywania tego, co zasadzono” (Koh 3,1-2)

W Księdze Hioba czytamy: „Szybsze me dni niżli biegacz uciekają nie zaznawszy szczęścia. Mkną jak łodzie z sitowia, gonią jak orzeł ofiarę” (Hi 9,25-26). To są natchnione słowa Pisma Świętego, które my księża często cytujemy w kazaniach na zakończenie Starego Roku.

Na ścianie kościoła parafialnego w Wadowicach jest umieszczony zegar słoneczny z napisem: „Czas ucieka, wieczność czeka” 2).

O przemijaniu świata mówią jeszcze inne zdania: „Każdemu z nas ucieka czas” oraz „Ile ci jeszcze życia pozostało”? Pamiętam z Liceum łacińską sentencję:

„Tempus fugit, aeternitas manet”.

To łacińskie zdanie jest umieszczone blisko cmentarza przy

fontannie na wypoczynkowym placu w Woli Rzędzińskiej k/Tarnowa po to, aby korzystający z tego placu pamiętali o przemijaniu świata doczesnego.

Chciałbym, aby wynik twórczy tej książki odpowiadał napięciu mojej koncentracji skierowanej na lata dziecińne i młodzieńcze tj. 1947 – 1958.

Zastrzegam się, że w niniejszej jubileuszowej książce są zawarte sentencje długie i krótkie, aforystyczne, skondensowane wynikiem długich przemyśleń.

Piszę „na gorąco”, może trochę chaotycznie, ale za to szczerze i po koleżeńsku.

A adresatami mojej pracy są:

- a) Ks. Dziekan Grzegorz Ociepka – proboszcz rodzinnej parafii Łososina Dolna razem z łososińskimi kapłanami,
- b) Grono Nauczycielskie Zespołu Szkół Podstawowo-Gimnazjalnych im. Jana Pawła II z Panem Dyrektorem mgr inż. Zbigniewem Rusnak i Panią Dyrektorem mgr Renatą Prusak oraz z Dziećmi, Młodzieżą i Pracownikami Szkoły,
- c) Parafianie Jodłówki-Wałek z miejscowym Gronem Nauczycielskim z Panią Dyrektorem Mgr Krystyną Dudoń, Pracownikami Szkoły oraz Gminą Tarnów z Panem Wójtem mgr Grzegorzem Koziół na czele,
- d) Parafianie – Przyjaciele z Woli Rzędzińskiej I i II oraz z Mystkowa, Dobrkowa, Kąclowej i Podegrodzia,
- e) Koledzy i Koleżanki ze Szkoły Podstawowej w Łososinie Dolnej (dawniej Jakubkowice) oraz Rodacy,
- f) Koledzy i Koleżanki z II Liceum Ogólnokształcącego w Nowym Sączu,

- g) Parafianie i Przyjaciele z za granicy (Ameryka, Szwajcaria i inne kraje),
- h) moi Krewniacy.

Moje pokolenie z pewną nostalgią wspomina dawne czasy. Powiada, że dawniej wszystko było lepsze: lepszy był świat, lepsi ludzie i obyczaje – nawet wódka była lepsza czyli smaczniejsza. A jakie dawniej były dziewczyny! – „robotne”, gospodarne - powiada dawna kawalerka, a dzisiaj już niestety sędziwi dziadkowie.

Nie będziemy polemizować, czy dawniejsze czasy i obyczaje były lepsze od dzisiejszych. Zajmiemy się faktami: „Zwyczajne i obyczaje na ziemi nowosądeckiej w latach mojego dzieciństwa i młodości 1947 – 1958”.

W latach 1947 – 1958 nowosądecka wieś inaczej wyglądała aniżeli dzisiaj. W porze wiosennej, w lecie i jesieni widać było starannie uprawiane zagony pola z pszenicą, żytem i owsem. Łąki i polne dróżki były czyste, bo trawę zjadły pasące się krowy, owce i kozy. Porozrzucane daleko od siebie drewniane domy kryte białą dachówką, a niektóre słomą nadawały dużo wiejskiego uroku. A w tych domach mieszkały nieraz trójpokoleniowe rodziny z gromadką radosnych dzieci. Domy były otoczone pięknym sadem, szczególnie jabłoniami czereśniami i śliwami. Mój drewniany dom rodzinny w Bilsku na górze z zabudowaniami gospodarczymi niczym nie odróżniał się od innych wiejskich domów. Sąsiedzi pamiętają moich rodziców Jana i Zofię ciężko pracujących na roli podobnie jak inni rolnicy.

O jak w latach 50-tych XX wieku, pięknie wyglądała

nowosądecka wieś w porze letniej, między innymi Łososina Dolna oraz moja wieś Bilsko, w której przeżyłem dzieciństwo i młodość. Zostały mi w pamięci złote łąny zbóż, stojące kopki po skoszeniu żyta i pszenicy oraz Rodzice i Sąsiedzi ciężko pracujący przy żniwach i omłotach. Dzięki Opatrzności wcale nie zaszkodziła mi praca w okresie żniw przy odbieraniu zboża i w stodole podczas omłotów.

Nie zapomnę krótkiej młocarni poruszanej przez cztery osoby – mężczyzn i kobiety oraz Tatę wpuszczającego snopy zboża do maszyny. Potem było młynkowanie, czyszczenie zboża i wnoszenie ziarna do spichlerzy.

Starsi pamiętają przydrożne wierzby po obu stronach niezbyt szerokiej drogi utwardzonej żwirem, oraz przejeżdżające furmanki zaprzężone w konie. Autobus z Krakowa do Nowego Sącza i do Krynicy jeździł dwa razy dziennie. Dla mnie wielką atrakcją był widok wołów ciągnących wóz załadowany towarem. Nikt się nie dziwił, gdy drogą rolnik wolno jechał furmanką zaprzężoną w dwie krowy. Raczej był ruch rowerowy, rzadko przejeżdżały motocykle a jeszcze dużo rzadziej samochody.

Zwykle przejeżdżały furmanki z jednym albo z dwoma końmi. W dni targowe przez Łososinę Dolną, Bilsko i inne wioski przejeżdżało wiele furmanek wiozących świnie, cieleta lub inne produkty na sprzedaż. A na targach w Łososinie Dolnej, w Czchowie czy w Ujanowicach stacjonowało wiele furmanek nie mówiąc o Nowym Sączu, bo tam były wielkie jarmarki, do których toczyły się pojazdy „na owies”.

W razie potrzeby, księdza wieziono do chorego tylko furmanką zaprzężoną zawsze w parę koni (nigdy z jednym

koniem, z szacunku do Najświętszego Sakramentu). Starsi pamiętają jadącego furmanką kapłana dającego dzwonkiem znać, że jedzie z Najświętszym Sakramentem do chorego. Przechodzący drogą klękali na kolana.

Do Chrztu wiezono niemowlęta furmanką zaprzęzoną w parę koni. Według zwyczaju, kum i kumoska trzymająca dziecko paradowali na tylnym siedzeniu, a woźnica na przednim siedzeniu długim batem śmigał nad końmi i tak „pojazd na owies” posuwał się naprzód.

Jedna kumoska po wielu latach pamięta przygodę. Na chrzciny wybrała się w białej spódniczce. Usiadła na tylnym siedzeniu, a nie wiedziała że to siedzenie zostało silnie nasmarowane brązową pastą. Woźnica nie przypuszczał, że kumoska wróci do domu z upapraną brązową spódnicą.

Z domu rodzinnego do szkoły i do kościoła szliśmy utwardzoną drogą razem z kolegami i koleżankami 3 km. W drodze do szkoły spotykaliśmy ludzi siedzących blisko fosy, którzy tłukli kamienie. A w drodze powrotnej ze szkoły do domu, ocenialiśmy, kto najwięcej utłukł kamieni. Pamiętam, jak mówił mój tato: „Chwyciłbym się każdej roboty, ale nigdy nie poszedłbym tłuc kamieni”.

Mówiono nam dzieciom: „Jeśli nie będziesz się uczył, pójdiesz tłuc kamienie”.

Nie tylko ja, ale też moi Koledzy i Koleżanki pamiętają ciężkie zimy, kiedy to do studni droga była zasypana śniegiem, szyby w oknach zamarznęte. Ale zimowa pora nie przeszkadzała nam w uczęszczaniu do szkoły i do kościoła.

A jaka wspaniała i kolorowa była wiosna na nowosądeckiej ziemi! – fioletowa łąka od fiołków pełna miłego zapachu, wiele innych kwiatów jak: kaczeńce, stokrotki, pierwiosnki,

rumianki, dzwonki. Rosły też różne zioła, które wykorzystywano do leczenia różnych dolegliwości: dziurawiec, lebioda, lawenda, jaskólcze ziele, macierzanka, centuria. Wielką ozdobą przy wiejskich domach były ogromne lipy wraz z chórami ptaków. Nikt ze starego pokolenia nie zapomni wieczorów spędzonych pod lipą i zapachu jej kwiatów oraz bzyczących pszczół. Zapobiegliwi rolnicy zerwane kwiaty lipy mieli do parzenia herbaty na cały rok.

W drodze do szkoły obiektem naszego zainteresowania była drewniana szopa stojąca przy drodze niedaleko Opoki. Przez naszą ciekawość co mieści się w szopie, rozwijaliśmy intelekt oraz zmysł samoobrony. Bo po oględzinach „skarbów” jakie mieściły się w szopie, musieliśmy uciekać a potem tłumaczyć się, że zaglądaliśmy tylko z ciekawości a nie po to, by co ukraść. Właściciel szopy miał pełną rację, że nas przegonił, a my kształtowaliśmy sumienia, że bez pozwolenia, szopy nawet oglądać nie wolno.

Moje pokolenie z lat 50-tych XX wieku pamięta uczestnictwo we Mszy świętej w starym, czcigodnym, drewnianym kościele w czasach proboszczowania ks. Józefa Farugi. A trzeba wiedzieć, że dawna parafia „Jakubkowice” (dzisiaj „Łososina Dolna”) obejmowała więcej wiosek, aniżeli dzisiaj, bo jeszcze należała Michalczowa oraz Żbikowice z Wronowicami i Stańkową. Za mojego dzieciństwa od roku 1947 wikariuszami w Jakubkowicach byli: ks. Jan Odziomek, ks. Henryk Klimas, ks. Edmund Mruk, ks. Marian Rachwał.

W niedziele i święta do wiejskiego folkloru należały grupy ludzi – idących mężczyzn i kobiet w chustkach prowadzących dzieci pieszo do kościoła. A rowerzyści

omijali pieszych, czasem dzwonekami dawali znać, by „schodzili z drogi”.

Zwyczajną rzeczą był wielki ścisk w kościele a zwłaszcza „falowanie” dużej ilości dzieci – to do przodu, to znowu do tyłu, co nas bardzo bawiło. Ale za to my się pobożnie zachowywaliśmy podczas Mszy św. celebrowanej zawsze w języku łacińskim i odmawialiśmy pacierze. A gdy przyszedł na nas ministrantów „kolejka” do służenia przy ołtarzu, odmawialiśmy po łacinie ministranturę i odpowiadaliśmy na wezwania kapłana też po łacinie.

Przed Mszą św. ksiądz wyznaczał jednego ministranta do „kalikowania” na chór, czyli napędzania mechanicznie miechów do grania na organach, bo nie było prądu. Jeden kolega w połowie Mszy św. przerwał kalikowanie i uciekł. Dobrze, że goniący go organista Pan Solak nie złapał. Lubiałem „kalikować” Bogu na chwałę, za to Opatrzność Boża mi błogosławi.

Chętnie pomagaliśmy kościelnemu. Przed pogrzebem szliśmy na zewnątrz kościoła, wchodziliśmy do „sobótek” i z pośród rupieciarni wynosiliśmy czarny, ciężki, wielostopniowy katafalk.

Po polsku była czytana Ewangelia i oczywiście z ambony głoszone kazanie dłuższe aniżeli dzisiaj. Księża w kazaniach więcej upominali i strofowali ludzi aniżeli dzisiaj, co nie znaczy, że dawniej ludzie byli gorsi.

Zwykle po Mszy świętej odbywało się drugie zgromadzenie przed drewnianą wikarówką, gdzie przemawiał do ludzi Wojciech Załubski – sołtys, wójt, prezes Gromadzkich Rad Narodowych – na temat spraw dotyczących działalności Gminy. To drugie „kazanie” sołtysa odbywało się w pięknym plenerze: wikarówka z gankiem, drewniany kościół z sobótkami otoczony

murem a o mur oparte rowery, w dali plebania z zabudowaniami gospodarczymi i starą stodołą. Po stronie wschodniej stały: Dom Parafialny i Organistówka – obecne po dzień dzisiejszy tylko odnowione.

Po przygotowaniu klas II-gich „a” i „b” do I Komunii świętej w 1949 roku przez księdza Henryka Klimasa, byliśmy pouczeni, że po spowiedzi należy pocałować stulę i rękę księdza. Taki był zwyczaj i nikt się nie dziwił, że często młodzi i starzy (nie zawsze, bo ten zwyczaj zaczął powoli zanikać) po otrzymaniu Sakramentu Pokuty, całowali stulę i rękę księdza.

Uroczysta – jak na dawne czasy - była nasza I Komunia św. w roku 1949. Odświętnie ubrani w strojach komunijnych przyjęliśmy po raz pierwszy Pana Jezusa do swoich serc. A po pierwszo – komunijnej Mszy świętej, bardzo smakowała nam biała kawa w domu parafialnym, ponieważ byliśmy głodni z tej racji, że wtedy przed przyjęciem Komunii świętej, od północy obowiązywał post eucharystyczny bez spożywania pokarmów i napojów. Do kawy były smaczne potrawy – kołacz, bułki. W domach nie było żadnych komunijnych przyjęć, ani prezentów. Nikomu nie przyszło do głowy, aby mieć pod tym względem pretensje do rodziców. Rodzice wykarmili nas na ludzi zdrowych i odpornych na wszelkie ujemne uwarunkowania zewnętrzne. Niech Bóg za to da im niebo.

Dojazdowe drogi względnie dróżki prowadzące do chat były przeważnie gliniane z dołkami włącznie, a po deszczu z kałużami. Wtedy jeszcze nie myślano o układaniu chodników dla pieszych.

Wielką ozdobą były drewniane płoty koło domów krytych dachówką i stodoł krytych słomą. Niezbyt szerokie

utwardzone drogi po obu stronach zdobiły wierzby. Za wierzbami i fosą rozpościerały się starannie uprawiane pola oraz pastwiska z pasącymi się krówkami, a koło krówek bawiące się radosne dzieci w długich sukienkach trochę umorusanych od zabawy na łące.

Do całego wiejskiego pejzażu należała bogata flora właściwa mokrym gruntom.

A gdy zapadał wieczór, cała spokojna wieś kładła się na spoczynek przy lampach naftowych (do końca lat pięćdziesiątych). Uradowane dzieci pędziły krówki do stajni, a gospodarze i gospodynie krzątały się w domu i w oborze.

U zasobnych gospodarzy w dużych kuchniach na klepisku (ubita glina), w kącie stała beczka z kapustą przygnieciona kamieniem by się dobrze kisilo, w drugim kącie stały żarna do mielenia zboża. Pod małymi oknami stała skrzynia wypełniona odświętną odzieżą. Na białej wapiennej ścianie wbite drewniane kołki, na których były zawieszane „kaboty” tj. robocze ubrania.

W takiej kuchni w kameralnym nastroju obok paleniska z ogniem, zbierali się domownicy razem z przybyłymi sąsiadami. Była tam też starsza kawalerka. Grali w karty, palili fajki, opowiadali o dawnych czasach, zwykle o wojsku i wojnie i tak im to życie doczesne upływało. Do pracy nie dojeżdżali, w zimie robotę mieli na miejscu, na boisku stodoły, przy młóceniu zboża cepami.

Gospodynie były zajęte gospodarką – krówkami, trzodą chlewną, a biegająca gromadka dzieci wokół domu była zawsze zadowolona, że mają przy sobie mamę i tatę.

Małym dzieciom nie wolno było słuchać opowiadań starszych. Były przeganiane, „idźcie spać, bo jutro wczesno będziecie musiały wstać i „wyganiać” krowy na

pastwisko. A dzieci miały w sobie zakodowane prawie absolutne posłuszeństwo rodzicom i starszym, mając na uwadze, że w razie sprzeciwu grozi kara cielesna w tylną część ciała.

Charakterystyczny klimat w czworoboku obszernego podwórza, obok bogatszego domu mieszkalnego tworzyły: dom gospodarczy dla zwierząt (stajnia), stodoła, obora, kierat do mielenia zboża uruchamiany przy pomocy koni albo wołów, chlewy, piwnica, psy szczekające przy budzie, staw z pływającymi po wodzie kaczkami i żabami, studnia z żurawiem, koło drewnianego płotu – chodzące kury, piejące koguty, gdaczące indyki.

Pamiętam oborę przed domem rodzinnym na początku lat 50-tych XX wieku oraz to, że po wyjściu z domu na schody, trzeba było zaraz skrócić w prawo. Nie rzadko bywało, że niektórzy roztargnięci biegli z kuchni przez sień na schody i wpadali prosto do obory. A tak się działo zwykle wieczorem, ponieważ z braku elektryczności obejście koło domu było nie oświetlone. Małżonka od jednego dalszego sąsiada, który „miętko wylądował” w naszej oborze i „wykąpał się” w gnojówce, domagała się dłuższej kwarantanny i dokładnej kąpieli w rzece.

Już przed połową lat 50-tych, tato przeniósł oborę na inną stronę, w 1954 r. przebudował stajenkę drewnianą na murowaną połączoną jeszcze z domem mieszkalnym, a potem wciąż remontował domek mieszkalny, udoskonalał itp. (stajenka murowana osobno stanęła w roku 1971). Tato i Mama wzorowo prowadzili gospodarstwo mając na utrzymaniu liczną gromadkę dzieci. Podobnie gospodarstwa prowadzili moi sąsiedzi bliscy i dalsi.

Mieszkańcy dawnego pokolenia prawie do końca lat 50-tych XX wieku nie mieli elektryczności, telefonów, gazu, telewizji ani internetu, a jakoś żyli na przeciętnym standardzie, odwiedzali się i byli zawsze weseli. Nie domagali się dużo od życia, to im wystarczyło, co mieli. Ciężko pracowali, żenili się, bawili się, dużo modlili się, rodziły im się dzieci. Tu trzeba podziwiać zaradność dawnego pokolenia: nie było takiej komunikacji, jaka jest dzisiaj, do orania w polu używali koni albo czasem krówek (w moim domu rodzinnym główną siłą pociągową przy oraniu w polu były czerwone, posłuszne krowy), w żarnach mleli zboże na mąkę, a z tej mąki piekli chleb. Z mleka od krówek robiono masło w drewnianej maśliczce, między dwoma deskami wygniatało ser.

Pamiętamy smaczny chleb a zwłaszcza podpłomyki upieczone przez nasze mamy. Pamiętamy, jak przed pójściem do szkoły, karmili nas rodzice kaszą z mlekiem. Nie zapomnimy, jak Tato i Mama do szkoły na drogę dawali nam ciepły placek upieczony na blasze.

O, jakie były smaczne i ekologiczne, wiejskie potrawy: upieczony chleb razowy, kapusta z beczki, ziemniaki wykopane w polu, jarzyny zerwane z grządki i inne. Nie zapomnimy poszanowania chleba, jakie nam przekazali rodzice. Tu należy zaakcentować, że rodzice i dziadkowie przekazali nam silną wiarę i nauczyli nas szlachetnego życia. Dali nam przykład pobożności, ofiary, cierpliwości oraz życia w trudnych a nawet ekstremalnych warunkach. To oni przeżyli II wojnę światową i ciężkie powojenne czasy pod względem politycznym i społecznym.

Naszym przodkom dokuczały coroczne przednówki. W czerwcu brakowało zboża, dlatego nie było z czego

mleć w żarnach, zwłaszcza w rodzinach wielodzietnych. I z tym sobie jakoś radzili nasi rodzice.

U mnie w domu w latach 50-tych też był przednówek, w spizarce brakło zboża, a do żniw było jeszcze daleko. Ale Bogu dzięki tato był chłopem - robotnikiem, pracującym w Nowej Hucie, skąd w soboty przywoził chleb do domu.

W tych latach był przyjęty zwyczaj „upychania” dzieci do bogatszych gospodarzy „na służbę”. A jeżeli jedno z domu lub dwoje poszło „na służbę”, wtedy rodzicom łatwiej było wyżywić mniej liczną rodzinę, wtedy było do napelnienia jeden lub dwa żołądki mniej. Dodaje, że w nowosądeckim w latach 1947 – 1958 nie dużo było dzieci „na służbie”.

Wieczorami kawalerka śpiewała piosenki nie zawsze melodyjnie, często ochryplymi głosami podobnymi do ryku konających zwierząt. Ale też można było posłuchać pięknego młodzieżowego śpiewu, ich głos daleko rozchodził się po górach dolinach. Nikt się nie dziwił, gdy kawalerka podchodziła pod okna tych domów, gdzie przebywały panny do wydania. Bywało i tak, że dziewczyny wieczorami zerkwały przez okna, by zobaczyć podchodzących chłopaków.

Powiedziano mi, że jeden gospodarz, który miał kilka nastoletnich córek, pomalował futryny okien i zewnętrzne ściany drewnianego domu na kolor niebieski. Był to znak dla kawalerki, że w tym domu nie brakuje dziewczyn.

Oj, dawne czasy. Dzieci wychowywane raczej w gromadzie, w licznych rodzinach, podobnie jak ja wychowałem się w licznej rodzinie. Było nas w domu 9-rodzeństwa, z tym, że siostrzyczki bliźniaczki Ania i Krysia zmarły wnet po urodzeniu w roku 1952. Dziękuję Bogu -

Opatrzności za to, że wykołysałem kilkoro rodzeństwa. Dlatego wiem, jak wychowują się dzieci w licznej rodzinie. W takiej rodzinie nauczyłem się dzielić z innymi.

Był powszechny zwyczaj na wsi, że dzieci były „gonione” do pasienia krów, ale nie czuły się pokrzywdzone. Zawsze radosne śpiewały przy krówkach zaczepne piosenki np.: pasterka Marysia śpiewała do Jaśka: „Myślałeś ty Jaśku, że z ciebie parada, prawie cię postawić w kapuście za dziada”. A sąsiad Jasiek pasący krowy daleko za paryją, odśpiewywał: „W kapuście za dziada ja nie będę stał, ciebie tam postawię i będę się śmiał”.

Ja też w dzieciństwie pasłem krowy od siódmego roku życia, bo jestem najstarszy z rodzeństwa i nic mi się nie stało. Na tym nie ucierpiała moja nauka w szkole, a prawdopodobnie oceny w szkole podstawowej ze wszystkich przedmiotów miałem bardzo dobre. Dodaję, że wieczorem nie tylko ja, ale i też moi koledzy i koleżanki, potrafiliśmy odrabiać lekcje i uczyć się przy lampie naftowej. Nie wszystkich było stać na nowe podręczniki, dlatego uczniowie kupowali sobie książki od starszych kolegów.

Największą bolączką nauczycieli w szkole, było opuszczanie lekcji przez dzieci z powodu polnych robót. A najgorzej było w sezonie kopania ziemniaków, wtedy dzieci nagminnie opuszczały lekcje w szkole.

Pamiętam z lat szkoły podstawowej, jak w latach 50-tych XX wieku, wielu kolegów przychodziło do szkoły „na bosaka” i nikt się temu nie dziwił. Nie pamiętam, czy koleżanki chodziły „boso”. Niedawno trzy moje koleżanki przyznały się, że nie wstydziły się iść boso do szkoły. Inna koleżanka napisała mi w liście, że pamięta jak boso szła do

szkoły. Kuzynka z Rożnowa – moja rówieśnica, która zdała maturę też w 1958 roku, tam w Rożnowie nie chodziła boso do szkoły, ale przeważająca część jej koleżanek i kolegów chodziła do szkoły bez butów. To pamiętam, że ja nie naśladowałem kolegów w chodzeniu do szkoły „na bosaka”. A że buty miałem podbite drewnem, za to przedłużała się ich żywotność, by je przekazać młodszemu rodzeństwu. Takie buty były wspaniałe do ślizgania bez obawy, że podeszwy ulegną zniszczeniu.

W niedziele i święta nierzadko dzieci oraz dorośli, ubierali buty tuż przed kościołem, ażeby zaoszczędzić butów na przyszłe lata.

Przed lekcjami na podwórzu szkolnym zwykle odbywały się poranne apele.

Jedna zdolna koleżanka przyszła do szkoły w butach, bo miała publicznie wystąpić na apelu. Wspomina po latach: „Palіłam się ze wstydu, gdy musiałam wystąpić w gumiakach o trzy numery za dużych”.

Uczeń za złe zachowanie na lekcji albo poza lekcją, dostawał kijem tęgie „łanie”. Dzieci w tych latach wiedziały, że za nieprzygotowanie się do lekcji oraz za brak wiadomości, też można otrzymać karę cielesną w tylną część ciała ręką nauczyciela albo kijem. Moja rówieśnica z Rożnowa też coś przeszkrobała, bo na obie ręce dostała czarną i długą gumą.

Pamiętam, jak koledzy przechwalali się, że pani biła, ale nie bolało. Gdy pan lub pani w szkole dowiedzieli się od skarżypytów, że dwaj uczniowie byli na weselu, wtedy obydwaj dostali „na łapę” i to po równo, aby im się odniechciało „łażenia” po weselach. Ale należy wątpić, czy im się odechciało dalszych wędrówek na wesela.

Dnia 28 stycznia 1948 roku byłem na weselu Jana Prusaka i Aleksandry Prusak u niedalekiego sąsiada. Już wtedy czuwała nede mną Opatrzność Boża, bo nikt mnie w szkole nie podkablował, uszło mi płazem i nie musiałem tłumaczyć się z nielegalnej obecności na weselu. A wtedy było wiadome, że dzieci nie zwracały uwagi na weselną orkiestrę, jak raczej czekały na weselny smaczny placek ze serem.

Koledzy i koleżanki z wielkim humorem opowiadają, jak to pani niesfornych uczniów, którzy przeszkadzali na lekcji, za karę stawiała do ciemnego kąta i taki delikwent musiał „paradować” przy kolegach i koleżankach. Nie rzadko niedobrzy uczniowie byli „wywalani” za drzwi. A na moje pytanie, co ci delikwenci robili za drzwiami, usłyszałem odpowiedź: „zadowoleni biegali po korytarzu i po podwórzu”. Na lekcjach religii też były stosowane kary cielesne. Byłoby źle, gdyby nauczyciel religii albo ksiądz katecheta nie dostosowali się do wymogów współczesnej szkoły.

W dyskusji o karach cielesnych w dawnej szkole podstawowej, wmawiano mi, że zwykle chłopców spotykała ta „przyjemność” „głaskania” kijem po tylnej części ciała lub po rękach. Uczyłem młode pokolenie przez 45 lat oczywiście bez stosowania kar cielesnych. Dlatego mogę przypuszczać, że dawniej nie rzadko dziewczyny swoim zachowaniem, uśmieszkami prowokowały chłopców do hałasowania i w tym zamieszaniu niejeden chłopiec niewinnie „oberwał” od nauczyciela.

Należy zaznaczyć, że wtedy dzieci ukarane kijem w szkole, po powrocie do domu, nie przyznawały się rodzicom, by od nich nie dostać większej kary. Wtedy rodzice wierzyli nauczycielom. Nauczyciel cieszył się autorytetem wśród

dzieci i rodziców.

Wiele razy byłem mile zaskoczony, kiedy w spotkaniu z abiturientami szkoły podstawowej z lat 40-tych i 50-tych dowiedziałem się, nie mają pretensji do nauczycieli za kary cielesne, a „lanie” kijem wspominają z humorem. Wtedy ja też z humorem powiadałem do dawnych szkolnych „delikwentów”: „Dlatego, że dostałeś kijem od nauczyciela, dzisiaj jesteś porządnym człowiekiem”.

Był przestrzegany rozdział między chłopcami a dziewczynkami. Dziewczynki siedziały w ławkach osobno a chłopcy osobno. Dla chłopca zwłaszcza w niższej klasie, było wielką karą siedzieć na lekcji razem z dziewczynką. Pan lub pani za nieuważnie na lekcji „przesadzała” chłopców do dziewczynek, albo dziewczynki do chłopców.

Dawniej chłopcy bili się (oczywiście nie w klasie) na pięści, a kibice-koledzy dopingowali: „bij go”. Nierzadką formą zabawy wśród chłopców była „walka w zapasy”. Dzisiaj chłopcy nie umieją się bić, bo pod wpływem komputerów, internetu wołają: „zabij go”, „skasuj go”, „przyloguj mu” itp.

Chłopcy biegający „na bosaka”, by zaimponować kolegom, a zwłaszcza koleżankom, po zajęciach szkolnych urządzali wspinaczki na drzewa. A więcej pomysłowi urządzali sobie „zawody” w chodzeniu po drzewach – kto wyjdzie wyżej i najszybciej.

Nie brakowało stałych bywalców na drzewach, którzy wybierali ptakom z gniazd jajka (wronom, srokom, dzikim gołębiom) i zwalali gniazda. Przezorni chłopcy uważali, aby w zwalaniu jajek czy gniazd na ziemię, nie trafić na jastrzębia, gdyż taka zabawa mogłaby się źle zakończyć.

A gdy pani nauczycielka albo pan nauczyciel dowiedział się od skarżących dzieci, że kolega zwał ptakom jajka, pan albo pani wymierzali delikwentowi odpowiednią porcję kijów po tylnej części ciała.

Wielką atrakcją dla dzieci było kino objazdowe. Okrzyki – „jedzie kino”. Było fajnie na oglądaniu filmu, bo przepadła jedna lub więcej lekcji. A że wtedy nie było telewizji, wielką „radochą” były objazdowe teatry kukielkowe, jasełka w wykonaniu miejscowych dzieci, przedstawienia, chóry itp.

Dowiedziałem się od kolegi, że od roku 1954 przyjeżdżali do szkoły podstawowej w Jakubowicach prelegenci i zachęcali uczniów do szkół zawodowych przy Zakładach Chemicznych w Oświęcimiu. Obiecali naukę i wyżywienie wraz z internatem za darmo. Ażeby zachęcić młodzież do nauki w szkole zawodowej, używali hasła: „Chemia leczy, ubiera i żywi”. Kilku uczniów skorzystało z tej oferty.

Inni prelegenci przed kościołem zachęcali dorosłych do pracy w kopalni, w hucie lub w budownictwie, obiecując dobre zarobki i mieszkanie nawet z rodziną. Wielu mieszkańców parafii Jakubkowice (dziś Łososina Dolna) skorzystało z powyższej propozycji, ponieważ nie mieli innego wyboru.

Przypomniano mi o pochodach 1-o majowych z chorągiewkami w rękach jak szliśmy w kierunku PGR-u i skandowaliśmy: „Stalin – Bierut – Pokój – Socjalizm”. Teraz sobie przypominam, jak to w tym pochodzie szedłem dumnie z przepasaną wstążką zaliczony do „przodowników w nauce”.

W kl. VI obowiązkowo nauczyliśmy się piosenki

mówiącej o postępie technicznym w powojennej Polsce, kiedy to przybywało traktorów i zachęcano, by żywe konie gospodarzy zastąpić koniami mechanicznymi.

Śpiewaliśmy tak:

Hej wy konie rumaki stalowe,
Hej na pola prowadźcie wy nas,
Niech zawarczą traktory bojowe,
Nam już w pochód odprawić się czas.
I cudowny nas koń wejdzie na świeżą łąkę,
Za nim tysiąc traktorów i maszyn,
Ostry pług będzie ciąć, będzie orać i żąć,
Zbierać plony w PGR-ach naszych.

Zapamiętaliśmy o wiele ładniejszą piosenkę, którą skomponował Kierownik Szkoły Stefan Dubiel. Te piosenkę śpiewaliśmy przy akompaniamencie skrzypiec.

Oto jej niezapomniane słowa:

Kocham te góry, kocham Łososinę
I kocham Bilsko i całą Gminę.
Bo nasze lasy powabu i krasy,
Mają uroku przemiły czar.
Sadowę lubię, Kamykiem się chlubię,
W Nowinach, Białej swe serce gubię.
Chcąc je odszukać wystarczy zapukać,
Do pierwszych z brzegu mieszkańców wrót.
Jakubkowice choć mały przysiółek,
Ma swoją szkołę, mały kościółek.
Tu każdy spieszy, bo wszystkich pocieszy,
Ta kuźnia wiedzy, nauk i cnót.

Dzieci chętnie szły do zbierania ziemniaków, kiedy pani brała całą klasę do kopania ziemniaków. Pracowały też pod opieką nauczycieli w ogródku przy szkole. A były

ubrane „tak powszednio”, „codziennie”, że mogły uczyć się w klasie i pracować przy zbieraniu ziemniaków, robić porządki wokół szkoły, plewić jarzyny i kwiaty w ogródku, zamiatać liście, usuwać gruz.

Pracujące fizycznie dzieci miały w sobie zakodowany zmysł samoobrony. Gdy było za dużo roboty, uciekały.

W klasach były podłogi szare, ciemne napuszczone jakimś płynem, ławki pomalowane z otworami, a w tych otworach umieszczone kałamarze z atramentem. Czasem chłopców siedzących za dziewczynkami, brały ciągotki, aby spuszczone warkocze koleżanek kapać w atramencie. Zeszyty jak na te lata były typowo szkolne, zmięte i poplamione kleksami. A bibuły w zeszytach należały do kompletu. Pięknie wyglądały małe dzieci upaprane atramentem.

Już za dzieciństwa nauczyłem się uczciwości i posłuszeństwa względem rodziców. Jednego dnia Mama dała mi jedno jajko i kazała z nim pójść do sklepu – Juliana Sromka, by kupić papierosów dla Taty. W drodze do Julka spotkała mnie nieprzyjemna przygoda – rozbiłem to jajko i zmartwiony, że Tato nie będzie miał papierosów, wróciłem do domu. Przyniosłem Mamie skorupy z tego jajka, aby udowodnić, że mówię prawdę.

Nic mi się nie stało, że w dzieciństwie pasłem krowy, a w latach licealnych podczas wakacji na żniwach razem z rodzicami pracowałem na roli przy odbieraniu skoszonego zboża i wiązaniu snopków. Bogu-Opatrzności dzięki za takie dzieciństwo, a nie inne oraz za taką Szkołę w Jakubkowicach (Łososina Dolna) i takie II Liceum Ogólnokształcące w Nowym Sączu, a nie inne. Nauczyciele i Wychowawcy przekazali mi takie niezmiennie

wartości jak: uczciwość, pracowitość, odpowiedzialność za słowa i czyny, troska o drugich, wrażliwość na ludzką biedę, sprawiedliwość itp. Podobne wartości przekazała mi opatrnościowa rodzina, w której przeżyłem dzieciństwo i młodość.

Do wiejskiego folkloru należały jadące furmanki z końmi oraz wieszający się chłopcy z tyłu „pojazdów na owies”, dopóki nie dostali batem po plecach, by wóz opuścili. Chłopcy i odważniejsze dziewczynki wyskakiwały z wozu, by nie dostać batem i biegły za wozem. Pamiętam dwóch woźniców przejeżdżających często furmanką po kamienistej drodze. Jeden woźnica pozwalał nam siadać na furmankę, nie bił batem. A drugi na widok dzieci, pospieszał koniki, by szybciej ciągnęły wóz, aby mu się intruzy nie wieszały. Miałem „szczęście” tylko raz dostać batem po plecach od drugiego furmana. Było to opatrnościowe, bo nie zaszkodził mi pieszy spacer do szkoły. Drugi woźnica miał pełną rację. A 3 km. z domu do szkoły – to nie było daleko. Inni koledzy mieli dalej do szkoły.

Pamiętam przejeżdżające szybko furmanki, które za sobą pozostawiały tumany kurzu zwłaszcza w dni jarmarczne zdążające do Nowego Sącza albo do Ujanowic. Wczesnym rankiem na targ szły też grupami babcie albo młode lub starsze kobiety z kolorowymi chustkami na głowie, w długich spódnicach. Mężczyźni też szli pieszo w czapkach - leninówkach. Szli też młodzi, a dla nikogo nie było dziwne, gdy ktoś szedł pieszo 12 – 17 km. do Nowego Sącza. Mamusia też czasem odwiedzała pieszo Nowy Sącz aby sprzedać masło, jajka, ser. Tato na targ dojeżdżał rowerem.

Ojcowie i matki wspominają szkołę podstawową z lat

50-tych. Pamiętają grę w piłkę „szmaciankę” na łące i jak byli „przeganiani” na inne miejsce, bo łąka z trawą była przeznaczona do pasienia krów, a nie do gry w piłkę.

Wolno i spokojnie toczyło się „życie towarzyskie”. Starsi i młodzi słuchali radia kryształowego „na baterie” kiedy w początkach lat 50-tych nie było prądu, śpiewali oraz opowiadali o duchach i strachach. Dzieciom nie wolno było słuchać tego, o czym mówią starsi. A jeżeli mały chłopiec odważył się iść do starszyny, kwitowali go: „uciekaj raku”. Nie pamiętam, czy byłem przeganiany, ale często mnie używającego intelektu intrygowało, dlaczego dzieciom nie wolno było słuchać tego, o czym starsi opowiadają.

Czasem nie tylko młodzi, ale nawet starzy gospodarze o bujnej fantazji na „prima aprilis” zabawiali sąsiadów różnymi żartami, z czego nie wszyscy byli zadowoleni. Jedni rozbierali wóz i składali go na dachu tj. na kalenicy domu krytego strzechą, inni malowali okna wapnem, a jeszcze inni płatali takie figle, jakie wymyśliła „mądra” głowa.

Nie pytałem się starego pokolenia ani mojego taty, bo i tak by się nie przyznali, kto jednemu gospodarzowi spod stodoły przeniósł daleko w pole drewnianą „łazienkę”-wygódkę. Tyle wiem, że właściciel zabytkowego obiektu musiał ze synami dobrze pomęczyć się, aby znieść wygódkę i ustawić ją na pierwotnym miejscu, oczywiście poklinając siarczyście aż im się w zębach iskrzyło. Pan Bóg na pewno z tego się śmiał i przebaczył figlarnym psotnikom.

W latach 50-tych kawalerka starsza ode mnie 10 lat,

jechała do kościoła na rowerach wioząca na ramach swoje lub przygodne dziewczyny. Młode damy ubrane w suknie lub spódnice z koralami na szyi, nie bały się siedzieć bokiem na ramie roweru. Tę przejażdżkę z chłopakiem na rowerze uważały za wielki zaszczyt. Nie słyszałem o jakichś rowerowych wywrotkach ze swoimi „skarbami”. Każdy chłopiec miał w sobie tyle ambicji, że zachowywał bezpieczeństwo dla dziewczyny wiozącej do kościoła.

A wesela w tym czasie! Rano orkiestra z drużbą prowadziła Pana Młodego jak „baranka na rzeź” do Pani Młodej, potem odbywały się powitania, odgrywania gościom weselnym, śniadanie, rękowiny połączone z błogosławieństwem rodziców przy akompaniamencie pieśni Serdeczna Matko, po czym ze śpiewem jechali do kościoła, kilkoma lub kilkunastoma furmankami zaprzągniętymi końmi, kierowanymi przez wytrawnych woźniców. Nie rzadko orszaki weselne z muzyką i śpiewem podążały pieszo do kościoła. Po ślubie orszak weselny kierował się w stronę domu weselnego i przy bogatych obrzędach goście spożywali weselny obiad, słuchali muzyki, tańczyli, śpiewali, popijali. Muzykanci – dwóch na skrzypcach, na trąbce, na klarncie i basach. Akordeon też był używany na niektórych weselach.

Czy na weselu była wódka? Na to pytanie, odpowiadali pytaniem: „Czy bez wódki wesele by się udało”? A wielką ambicją gospodarza wesela było, żeby broń Boże wódki nie brakło. Powiadali, lepiej, żeby na weselu brakło chleba i cukru a nie wódki.

Niestety do całej egzotyki uczty weselnej należała bójka czyli weselna rozróżba. To zamieszanie wprowadzali zwykle „krakowiacy” czyli nieproszeni goście, którzy sprawiali wiele kłopotu. Ci nieproszeni według ówczesnego

miejscowego zwyczaju, po „odegraniu” przez pierwszego drużbę (wodzireja), zasiadali za stołem, jedli, pili i śpiewali. Ambitni kawalerowie, by zaimponować swojej dziewczynie, pojedynczo śpiewali przed orkiestrą. Zwykle ustawiała się kolejka do śpiewania: goście proszeni i nieproszeni. I w tym oczekiwaniu na „przyśpiewki” często dochodziło do kłótni, która zwykle przeradzała się w awanturę a potem w bijatykę.

Powiedziano mi, że dziewczyny prowokowały chłopaków do bitki. Bywało i tak, że dziewczyna, która miała chłopaka – drużbę nieumiejącego tańczyć, brała „krakowiaka” do tańca. Dziewczyny chciały się wytańczyć, a jeżeli ich drużbowie „nie sprawdzali się” w tańcu - deptali im po nogach, wtedy czekały na „krakowiaków”, by je zaprosili do tańca.

Urażeni drużbowie, że ich dziewczyny tańczą z jakimiś przygodnymi osobnikami, - zwykle nie darowali im tego. Wnet po tańcu dochodziło do przepychanek, które na polu kończyły się kłótnią, a w końcu bitką przy pomocy dranek powyrywanych z drewnianego płotu.

Inny powód rozróby na weselu: Jeśli pierwszy drużba wesela przyśpiewkami obraził kogoś na weselu, - był rewanz, mała bitka a potem mordobicie.

Wielkie wrażenie połączone ze strachem zrobiła na mnie kłótnia i bijatyka w jednej weselnej izbie drewnianego domu. Nie zapomnę uciekających muzykantów a zwłaszcza dziadka z basami, który był najwięcej poszkodowany, bo uciekał ostatni. Czym prędzej zwałem z tego wesela, tylko szkoda mi było weselnego placka, bo go zgubiłem w drodze do domu. Za chwilę wróciłem po plack, ale go nie znalazłem, bo było ciemno.

Moja krewniaczka Ania z Rożnowa napisała mi

w liście, że była na weselu, na którym towarzyszyła swojemu ojcu grającemu na akordeonie (jej ojciec Jan Dziedzic był organistą w Rożnowie, grał na weselach na akordeonie): „Jak czasami zaczynała się bijatyka, to kolega taty, który grał na bębnie, zaraz mnie brał i bębniem zasłaniał”.

Wspomnę o młodzieżowych „prywatkach” i potańcówkach”. Miały one miejsce albo na zakończenie skubania pierza (wyskubek) albo w jakimś domu, gdzie była izba z podłogą nadająca się do tańca. Przygotowania do opróżnienia izby trwały krótko, kawalerka przyprowadziła harmonistę, młodsze dzieci poszły spać na strych, a reszta tańczyła tak długo, aż kawalerowie „przehulali” sporo pieniędzy oczywiście bez udziału „krakowiaków”.

W latach 50 – tych tworzone w kraju spółdzielnie produkcyjne. Agitatorzy tworzenia takich spółdzielni trafili też do Jakubkowic (obecnie Łososina Dolna). Praca nad uświadamianiem ludzi szła powoli i bardzo ciężko. Z tego było widać, że tutejsi mieszkańcy opierali się tworzeniu „na siłę” spółdzielni produkcyjnych.

Było wiadome, że lata 50-te i dalsze to okres nasilenia komunistycznej represji wobec Kościoła i społeczeństwa. 25 września 1953 ks. Prymas Stefan Wyszyński został uwięziony i osadzony w Rywałdzie, potem w Stoczku Warmińskim, Prudniku i Komańczy. Został zwolniony 26 października 1956 roku.

1957 – ważny rok dla Kościoła w Polsce – rozpoczęcie Nawiedzenia wszystkich polskich parafii przez Kopię Wizerunku Matki Bożej Częstochowskiej 3).

Trudny był rok 1958 dla polskiej wsi. Wiosna przyszła

dosyć późno, gdyż śnieg leżał do końca kwietnia. Najwięcej martwili się rolnicy, dla których środkiem utrzymania była praca na roli a z niej owoce płodów rolnych.

Prasa pisała: „Gdy już wreszcie rolnicy mogli wyjść w pole do pracy, nadeszła powódź... Wody Wisły, Bugu, Narwi wystąpiły ze swych koryt i zalały 30 tys. hektarów pól, łąk i pastwisk. Zostało zalanych 109 wsi i kilka miasteczek. Dwa i pół tysiąca osób znalazło się bez własnego dachu nad głową. Ewakuowano około 3200 sztuk inwentarza żywego 4).

Rzeka Łososina też wystąpiła z brzegów i porobiła niemałe szkody. Na szczęście moich rodziców nie nawiedziła powódź, bo mieszkali na wzgórzu, ale plony były kiepskie, bo woda spływająca po polach zniszczyła zboże i ziemniaki.

Dalej pisała prasa: „Ale ludzie na wsi są twardzi. Gdy tylko opadły wody, powoli przy pomocy państwa i społeczeństwa poczuli wracać do swych domów by uporządkować spustoszone gospodarstwa i przystąpić do siewów. I wtedy gdy już widać było, że mimo tej klęski zdołają się dźwignąć...runęło nowe nieszczęście. 15 maja 1958 nad Rawą Mazowiecką i okolicznymi wioskami przeszedł gwałtowny huragan, wyrządzając duże szkody. W akcji pomocy wzięło udział wojsko...Nad Polską przeszła fala straszliwych burz i huraganów. Trąby powietrzne poczęły w ciągu kilku minut zmiatać z powierzchni ziemi spore miasteczka i wielkie wsie. Burze o nigdy nie spotykanej sile spustoszyły duże obszary w województwach: warszawskim, białostockim, lubelskim i poznańskim. Grad wielkości ludzkiej pięści wyciął oziminy, zniszczył świeże zasiewy. Wiatr wyłamał

z korzeniami najtęższe drzewa, zrywał dachy, rozbijał murowane budynki, unosił w powietrze i ciskał o ziemię ludzi, furmanki, autobusy. Poturbowanymi i ciężko rannymi ludźmi zapełniły się szpitale” 5).

2 czerwca 1958 zaliczyłem ostatni egzamin maturalny.

Lipiec 1958. Po rozpoczęciu roku szkolnego komuniści rozpoczęli akcję usuwania krzyży z klas szkolnych. „Tylko państwo ma prawo ustalania, jakie emblematy mogą się znajdować na ścianach izb szkolnych” - grzmiał Gomułka 6).

Ks. Władysław Piątek święcony na kapłana w 1958, otrzymał pierwszą pracę jako wikariusz w parafii Tęgoborze - przyszły proboszcz i budowniczy kościoła w Łososinie Dolnej.

Sierpień 1958. W dniach od 4 do 18.VIII.1958 roku ks. dr Karol Wojtyła – profesor etyki na KUL-u przebywał na kajakowej wycieczce wraz z kolegami i młodzieżą. Tam dotarła wiadomość, że ks. dr Karol Wojtyła został mianowany biskupem pomocniczym w Krakowie. Wielka radość, - życzenia i gratulacje od najwybitniejszych naukowców i profesorów z Krakowa, Lublina, Warszawy7).

Wrzesień 1958. Ks. Biskup Karol Wojtyła od 1 do 4 września brał udział w rekolekcjach Episkopatu Polski na Jasnej Górze, a dnia 28 września odbyła się jego konsekracja w Katedrze Wawelskiej w Krakowie 8).

W tym samym miesiącu wrześniu 1958 – wstąpiłem do Seminarium Duchownego w Tarnowie na sześćioletnie studia.

9 października 1958 zmarł Ojciec Święty Pius XII, który przeżył 83 lata życia a sterował Kościołem Powszechnym ponad 19,5 lat 9).

28 października 1958 Kolegium Kardynałów dokonało wyboru nowego Papieża. Został nim Patriarcha Wenecji Kardynał Angelo Roncalli, który obrał sobie imię Jan XXIII 10).

Po odprężeniu październikowym już w 1958 r. stosunki Kościół – Państwo uległy ponownemu pogorszeniu na skutek ataków władz 11).

4 listopada 1958 rozpoczął swój pontyfikat papież Jan XXIII 12).

27 grudnia 1958 zmarł ks. Józef Faruga – proboszcz w Łososinie Dolnej.

Na pytanie, jaką młodzieżą byliśmy w roku 1958 – odpowiadam: normalną i nienajgorszą z tym, że czasem słyszeliśmy na lekcjach: „Dawniej młodzież była lepsza, a dzisiaj sam banda i nieuki”. Dodaję, że moja klasa licealna była uważana za zdolną, a odnośnie zachowania – „cudowna”.

Nie skakaliśmy po ławkach ani też po suficie. A gonitwę po korytarzach oraz zjeżdżanie po poręczach szkolnych uważaliśmy za coś normalnego, pomimo że to było surowo zabronione. Uważaliśmy, aby w czasie gonitwy po korytarzach czy zjeżdżaniu po poręczach, nie wpaść na profesora, a zwłaszcza – co nie daj Boże – na profesorkę.

Pamiętam, jak w czasie bieganiny po korytarzu wpadłem na prof. Franciszka Wiśmierskiego. Bogu dzięki, że sobie i Jemu nie rozbiłem głowy. Już wtedy czuwała nade mną Opatrzność Boża.

Nas uczniów nie obchodziła polityka, ustrój socjalistyczny prowadzący rzekomo do dobrobytu i raj. Przebywaliśmy w świecie nauki i przygotowania do matury. Nam

kandydatom do kapłaństwa doradzono, abyśmy uważali i nie afiszowali się zamiarem wstąpienia do Seminarium Duchownego.

Ogólnie o młodzieży polskiej w roku 1958. Główne organizacje młodzieżowe były opanowane przez gomulkowski kierownictwo partii. W liczącym 220 tys. członków ZMS nie występowały już żadne rozbieżności polityczne, a na I Zjeździe ZMW w lutym 1958 r. Gomułka po raz pierwszy powrócił do „zasług” byłego ZMP stwierdzając, że było go za co krytykować, ale nie ma za co potępiać, gdyż wykształcił wiele kadr „ofiarnie budujących socjalizm”. Był to wyraźny ukłon w stronę ZMP -owskiego pokolenia karierowiczów, którzy wchodzili do średniego aparatu PZPR 13).

Tendencyjny „Zarys Historii Polski” z roku 1980 pisze na temat młodzieży: „Młodzież w latach 1955-1956 mierząc rzeczywistość ideologicznym obrazem socjalizmu, stała się gorącym rzecznikiem wyrugowania z życia wszystkiego, co nie było zgodne z wyniesionymi przez nią ze szkół ideałami rewolucyjnymi 14).

Moja ocena: mam poważną wątpliwość, czy młodzież przejmowała się „rewolucyjnymi ideałami wyniesionymi ze szkół”.

W pamiątkowej książce poświęconej dziejom II Liceum w Nowym Sączu, wyczytałem o młodzieży: „Ideowo-polityczną organizacją młodzieżową w szkole był Związek Młodzieży Polskiej. Został zorganizowany w Szkole już w roku szkolnym 1948/1949. Pierwszym opiekunem tej organizacji był prof. Ignacy Konstanty” 15).

Jak dowiedziałem się z powyższej książki, na ZMP-owskich zebraniach były omawiane zwykle: wyrabianie postawy świadomej dyscypliny oraz kształtowanie zasad

moralności socjalistycznej, osiągnięcie jak najlepszych wyników w nauce. Poprzedni dyrektor II Liceum do związku ZMP miał zastrzeżenie, że „nie do końca spełnia rolę na polu wychowania ideologicznego. Aktyw młodzieżowy był słaby, mało wyrobiony politycznie i organizacyjnie.

W roku szkolnym 1958/59 w miejsce rozwiązanej centralnie ZMP powstał Związek Młodzieży Socjalistycznej 16).

My młodzież stanowiliśmy dla utrwalaczy socjalizmu i wpychającym nam ciemnotę – smaczny kęs, aby nas ateizować, ogłupiać i przeciągnąć na swoją stronę. To łaska Opatrzności Bożej, że ci, którzy chcieli zmienić świat w raj i walczyć z Bogiem, nie połknęli nas. I tak byliśmy więcej cwani od naszych przeciwników, że nie daliśmy się nabrać na socjalizm prowadzący rzekomo do dobrobytu i nie pozwoliliśmy sobie, by nas odciągnięto od wiary katolickiej.

Co na temat młodzieży wiejskiej pisze tygodnik *Zorza Świąteczna* z roku 1958 ?

„Młodzież wiejska jest najbardziej zaniedbana pod względem kulturalnym. Interesuje się głównie zabawą i modnym strojem. Brak jednak na wsi dobrego filmu i widowisk teatralnych... Dobrać się do skóry osobnikom, którzy przez kumoterskie i pijackie konszachty prowadzą demoralizującą robotę społeczną. Zorganizować życie młodzieżowe na wsi, ożywić świetlice, więcej światła, ciepła i kultury wprowadzić do czytelnicy i bibliotek... Niech rodzice, nauczyciele, prasa, radio i teatr będą jednego zdania. Niech nie będzie wielorakiego wychowania tj. rodzice inaczej a książka i radio jeszcze inaczej. Trzeba

odpowiednio dobrać tych, co młodzież wychowują 17).

Wiadomo, że usiłowano wychować młodzież w duchu komunistycznym. To nieprawda, że młodzież wiejska była zaniedbana i „nieuświadomiona”. Dlatego komuniści mieli pretensje do młodzieży, bo młode pokolenie nie dało się omamić i nie poszło za zdobyczami realnego socjalizmu. Oczywiście nie brakowało młodzieży „z tamtej strony” – przyszłych kandydatów do PZPR.

Trzeba wspomnieć, że odtrutką na propagandę ateistyczną w latach 50-tych byli opatrznosciovi nasi rodzice, profesorzy w II Liceum i kapłani uczący religii katolickiej.

Byliśmy młodzieżą nie tylko przekorną z racji wieku ale też logicznie myślącą, stawiającą pytania dotyczące przyszłości socjalizmu. obrońcy „socjalistycznego raj” wmawiali młodzieży, że „socjalizm jest dobry, tylko ludzie o nim źle mówią”. Po latach, idąc tokiem rozumowania obrońców zdobyczy socjalizmu, bierze mnie pokusa, aby powiedzieć: „bimber jest też dobry, tylko ludzie o nim źle mówią”.

Nastąpiły październikowe wydarzenia 1956 r., wiece w Domu Kultury „Kolejarz” oraz skandowane hasła przez młodzież na plantach: „Lepszy chleb, biała bułka. Niechaj żyje nam Gomułka”. Potem rozczarowanie i ciąg dalszy totalitaryzmu komunistycznego.

Autor „Dziejów Szkoły...” napisał o młodzieży: „Młodzież w latach 50-tych – surowo oceniano złe zachowanie – gadulstwo na zajęciach, zaśmiecanie klas i korytarzy, zjeżdżanie po poręczach, siedzenie na parapetach, odpowiadanie przy otwartych zeszytach i ucieczki z lekcji” 18).

Podobnie – jak pisze autor „Dziejów Szkoły...”- było u nas

w klasie XI „a” oraz u kolegów i koleżanek w klasie XI „b”. Pamiętam poranne apele uczniowskie na podwórzu – czytanie prasówki, komunikaty dyrektora, śpiew „Naprzód młodzieży świata”, po czym z pewną treścią zwłaszcza przed matematyką wchodziliśmy po lastrykowych, białych stopniach do klasy na I-sze piętro lub II-gie.

Tam w klasach – w ławkach zdobywaliśmy wiedzę wśród szkolnej codzienności przerywanej dzwonekami na uczniowską przerwę. A na przerwie byliśmy zmuszeni „ocierać się” o koleżanki, bo ich było więcej.

Nie pamiętam, czy brało kogo na amory albo na tworzenie par nieformalnych. Gdyby tak było, profesorzy by to wszystko wyteplili w zarodku. A trzeba wiedzieć, że z zazdrości nie brakowało sfrustrowanych „kablarzy”, którzy nie mieli powodzenia u dziewczyn.

A po maturze sensacja – z mojej klasy XI „a”, aż sześciu chłopaków zamierzało wstąpić do Seminarium Duchownego. Czterech doszło do kapłaństwa.

1 Maja 1958 Władysław Gomułka w odezwie KC PZPR stwierdził, że „naród poparł program FJN przeciw wrogom socjalizmu” 19).

1 maja 1958 w Nowym Sączu. W piękny słoneczny poranek stawiliśmy się na podwórzu szkolnym II Liceum nie z własnej woli, lecz z nakazu. W naszych młodych intelektach nikomu nie zaświtała przekorna myśl, by nie iść na 1-o majowy pochód. Trzeba było pójść, nie było dyskusji.

Według nas uczniów udział w pochodzie był złem koniecznym, a według organizatorów pochodu – zaszczytnym obowiązkiem dla zamanifestowania poparcia dla wielkich zdobycy Polski Ludowej, w pełnym

przekonaniu, że tylko socjalizm prowadzi do dobrobytu.

Profesor Franciszek Wiśmierski dał nam szturmówki po uprzednim pouczeniu, że należy je z powrotem przynieść do szkoły po zakończeniu pochodu. Pamiętam, jak kolega Zygmunt K. pierwszy w pochodzie niósł czerwoną szturmówkę, z czego był niesamowicie niezadowolony, zły, co nas niosących biało-czerwone szturmówki, bardzo bawiło. Ale jak widać na zdjęciu, podczas pochodu zachowaliśmy powagę, bo przecież nas spotkał „wielki zaszczyt” paradowania w dniu 1 maja w studenckich czapkach i w odświętnych garniturach, a koleżanki też w odpowiednich uczniowskich kreacjach.

Przy ulicy koło trybuny nie brakowało ludzi – gapiów. Po wielu latach przypuszczam, że ci widzowie mieli trochę oleju w głowie i nie pomyśleli sobie patrząc na nas idących w pochodzie: „to są najlepsi synowie oraz córki ludu pracującego miast i wsi dążący do socjalistycznego raju”.

Bogu dzięki, że nie należałem do „najlepszych synów socjalistycznej Polski”. Czekałem, by jak najszybciej skończył się pochód, oddać szturmówkę do szkoły i być wolnym jak ptaszek. Kolega Zygmunt też był szczęśliwy, kiedy pozbył się chwilowego „jarzma” niesionego na prawym ramieniu podczas pierwszomajowego pochodu. Nie pamiętam, czy koleżankom, które paradowały ze szturmówkami dla poparcia rewolucyjnych zdobyczy socjalizmu, nie było żal oddawać szturmówek do szkoły, bo były takie ładne, czerwone, biało-czerwone, socjalistyczne.

Dla historii a nie dla kabaretu podaję zestaw 1-o majowych haseł: *Niech żyje 1 maja, Precz z kapitalizmem, Proletariusze wszystkich krajów łączcie się, PZPR to*

*przewodnia siła narodu, Niech żyje i zwycięża socjalizm,
Niech żyje ZSRR, Partia z narodem i naród z partią,
Socjalizm to dobrobyt.*

Powiedziano mi anegdotę z lat 50-tych. W Warszawie uroczyście witają wysokiego dygnitarza radzieckiego, padają salwy honorowe. W tłumie babcia pyta się milicjanta – co się dzieje? Wojna? Milicjant grzecznie odpowiada babci, że Warszawa wita gościa ze Związku Radzieckiego. A na to babcia: Po co tyle salw? To nie mogli go zastrzelić od pierwszego razu?

Po latach z perspektywy czasu z pewną ironią i z humorem piszę, że w dniu 1 maja roku 1958, świat był bardzo barwny, wesoły i trochę śmieszny, bo był przeładowany transparentami i różnymi hasłami na temat czekającego nas dobrobytu w socjalistycznym kraju.

„W grudniu 1951 grono nauczycielskie II Liceum w Nowym Sączu złożyło egzaminy przed Wojewódzką Komisją Szkolenia Ideologicznego” 20).

My licealna młodzież nie zdawaliśmy sobie sprawy, że profesorzy II Liceum są „wyszkoleni” na kursie ideologicznym. Przypuszczam, że nasi Wychowawcy jak np. Franciszek Wiśmierski a tym bardziej Aleksander Pawłowski wcale tym się nie przejmowali. Byli mądrzy oraz inteligentni, aby młodzieży wpychać do głowy ciemnotę o socjalistycznej Polsce.

Koleżanki z II Liceum przypomniały mi, że prof. A. Pawłowski na pochod 1-o majowy przychodził zawsze nieogolony. Należy przypuszczać, że to był cichy protest przeciwko kłamcom – utrwalaczom władzy ludowej.

W archiwum II Liceum Ogólnokształcącego im. Marii Konopnickiej można znaleźć odpowiedź na pytanie: „Jak profesorzy uczący w II Liceum w latach 50-tych byli

oceniani i odnotowywani w arkuszach spostrzeżeń: „Pod względem ideologicznym posiadają pewne jeszcze pozostałości dawnego ustroju” 21).

O jednym profesorsze napisano w Archiwum II Liceum: „Nie należy do żadnej partii, lecz jego poglądy są postępowe” 22).

Trzeba wiedzieć, że praca dydaktyczno – wychowawcza naszych przełożonych w latach naszej edukacji w II Liceum miała odpowiednią specyfikę. Była ona dostosowana do życia społeczno – politycznego, gospodarczego i kulturalnego.

Archiwa II Liceum pozytywnie piszą o pracy profesorów: „Nauczyciele, mimo atmosfery nacisku ideologicznego, starali się wykonywać obowiązki uczciwie i zgodnie ze swoim sumieniem. W pracy byli zdyscyplinowani” 23).

Teraz sobie więcej uświadamiam, że profesory mieli obowiązek wychowywać nas w duchu socjalistycznym.

Uczyli nas profesory na ogół starsi wiekiem tak nam uczniom się wydawało, że są starsi albo starzy po 40-ce albo po 50-tce.

Dla mnie mającego wtedy wyostrzony zmysł młodzieńczego krytycyzmu, profesory byli silnymi osobowościami cieszącymi się niemałym autorytetem. To samo twierdzą Koleżanki i Koledzy z maturalnego roku 1958 kl. XI „a” i XI „b”. Wprawdzie odczuwaliśmy przed nimi niesamowity lęk, zwłaszcza podczas sprawdzania naszych wiadomości z matematyki, fizyki czy innych przedmiotów, ale niezależnie od tego darzyliśmy ich szacunkiem, bo chcieli nas wykształcić i wychować. Byliśmy młodzieżą zdyscyplinowaną, i dobrze zdawaliśmy

sobie sprawę, że kary dla opornych groziły dosyć wielkie z „wywaleniem” z Liceum włącznie.

Pamiętam prof. A. Pawłowskiego, który nie znosił modnych wtedy u chłopców wąskich spodni (14 cm.). Wysoki kolega przy tablicy na fizyce, w wąskich spodniach wyglądał jak bocian. Przeważnie prof. Pawłowski stanął nad nim z założonymi rękami do tyłu, lekko przygarbiony popatrzył z politowaniem na długonogiego ucznia w wąskich spodniach i powiedział: „Tobie chyba mama te portki na dyszlu szyla”.

Koleżanki dojeżdżające w zimie do szkoły, zwykle przyjeżdżały w spodniach, ale na lekcje fizyki, żadna z koleżanek nie odważyła się przyjść na fizykę w spodniach, zwłaszcza kiedy spodziewały się pytania przy tablicy. Przebierały się dyskretnie na przerwie, aby nie podpaść profesorowi.

Nie wiem, co by powiedział poczciwy profesor do dzisiejszej (oczywiście nie złej) młodzieży ubranej w wytarte i potargane dżinsy-wycieruchy, z modnie wystrzyżonymi lub wygolonymi włosami na głowie. Może by powiedział: „O tempora, o mores! Co za czasy! Co za obyczaje! – albo świat zwariował, albo ja zwariowałem”. (Żartuję, może nie byłoby tak źle) Im więcej piszę o czcigodnych profesorach, tym więcej modłę się o ich zbawienie.

Podczas pytania uczniów przez profesorów, cała klasa odruchowo solidaryzowała się z odpowiadającym „nieszczęśnikiem” i w różny sposób sprytnie podpowiadała. Sama koleżanka Basia M. wspomina: „W klasie X „a”, pani prof. Gawrońska wskazała na moją osobę, ażebym streściła nowelę Bolesława Prusa „Katarynka”. Niestety jej nie

przeczytałam. Natychmiast ruszyła pomoc koleżeńska i podpowiedź, którą „przekreśliłam” w następujący sposób: „Przy ulicy Miodowej mieszkał Pantoflarz”. A miało być: „Przy ulicy Miodowej mieszkał pan Tomasz” 24).

Dziewczyny – nasze koleżanki, które „rządziły” w klasie bo ich było więcej, niż nas kolegów (ich było 25 a nas 17) często szukały ratunku u prof. Micelskiego, który uczył języka rosyjskiego. Sprytne tak „zagadały” profesora a nawet zahipnotyzowały, że poczciwy prof. Micelski „nie miał rucha”, ulegał i bronił uczennic przed wszelkimi „agresorami”.

Matematyki uczyła nas wspianiała specjalistka tego przedmiotu – pani prof. Elżbieta Ombach. Laska, którą nosiła przy sobie spełniała podwójną funkcję:

a) była pomocna w chodzeniu, b) była używana do stukania w tablicę, przy której mocno wytresowany uczeń rozwiązywał matematyczne zawiłości.

Trochę nam imponowało a czasem dziwiło, kiedy prof. Ombach wywoływała do odpowiedzi np. „powie panna Bogdańska”, „panna Studzińska”, „panna Nawieśniak” itp. Nie przypominam sobie, żeby ta profesorka podobnie mówiła do uczniów: „pan Bulanda”, czy „pan Wolak”. Oczywiście nie było tu ani cienia zazdrości.

Nie wolno mi pominąć barwnej osoby II Liceum tj. prof. Ewy Berger. Trochę zapomnieliśmy z lekcji biologii, bo to jest rzeczą normalną, ale należy wspomnieć słowa profesorki, o czym przypomniał mi kolega Andrzej B. – „świat jest piękny, tylko bez bejdoków”.

Dla mnie nastolatka było wielką frajdą, że na lekcji biologii o wymoczkach, żabach, roślinach i innych Boskich stworzeniach, przy podzielności uwagi potrafiłem spełniać

cztery czynności:

- a) pilnie słucham lekcji,
- b) jadłem bułkę ale tak, by profesorka nie widziała,
- c) pisałem nuty do piosenki „Bela, bela, donna”,
- d) wkuwałem słówka angielskie.

A różne epitety w Liceum pod naszym adresem „nieuki, co z was wyrosnie”, wypowiedziane w zdenerwowaniu ale za to pieszczotliwie przez profesorów, też były opatrnościowym dopingiem do nauki. Dzięki temu zdawaliśmy sobie sprawę, że nie grzeszymy dużymi wiadomościami, a pod względem zdobywania wiedzy jesteśmy „w drodze”.

Mimo wszystko w tej barwnej prozie licealnego życia, zdobyliśmy pewien zasób wiadomości a później po studiach rozszerzył się nasz horyzont naukowy.

Tu przypomina mi się wypowiedź satyryka Stefana Kisielewskiego z lat 50-tych: „Gdyby dureń zrozumiał, że jest durniem, automatycznie przestałby być durniem. Z tego wniosek, że durnie rekrutują się jedynie spośród ludzi pewnych, że nie są durniami” 25).

Idąc tokiem rozumowania Kisiela, można powiedzieć:

„Gdyby bejdok zrozumiał, że jest bejdokiem, automatycznie przestałby być bejdokiem”. Nikomu z nas nie przyszło do głowy obrażać się, bo błyskawicznie zrozumieliśmy, że jesteśmy bejdokami a to wyszło na naszą korzyść bo wtedy automatycznie przestawaliśmy być bejdokami.

Lata licealne były tak piękne, że nawet „bejdokowanie” nie było w stanie zmienić ciepłych uczuć do wszystkiego, co działo się w szkole średniej.

Rok przed maturą tj. w 1957 kupiłem książkę

Kisielewskiego „Rzeczy małe” za 40 zł. Jak na tamte czasy i na moją kieszeń, było to dużo. Ale nie żałowałem zakupu. Z zapartym tchem przeczytałem tę grubą książkę liczącą 540 stron i to ukradkiem, bo nie było wskazane, by uczniowie czytali takie książki. Kiedy późnym wieczorem w nowosądeckim internacie przy ul. Długosza, prof. Franciszek Wiśmierski zobaczył mnie na uczelni z książką Kisielewskiego, przegonił mnie do spania. Dobrze zrobił, bo wyspałem się i dzisiaj jestem zdrowy. Modłę się o Jego zbawienie.

Kisielewski (pseud. Kisiel) satyryk, starszy ode mnie o kilkanaście lat, młodość przeżył podczas niemieckiej okupacji. Miał on prawo napisać o swojej straconej i durnej młodości.

Napisał tak: „Należę do pechowego przez historię <wykiwanego> pokolenia.

W dniu 1 września 1939 roku miało się opinię młodego, obiecującego człowieka, który wprawdzie nic jeszcze nie zrobił, ale na pewno zrobi. W dniu 8 maja 1945 roku natomiast okazało się, że jest się starszawym, łysiejącym facetem, który ma życie poza sobą i karmi się już wyłącznie wspomnieniami. Dobrze, ale gdzież samo życie? Jest początek i koniec, ale brak środka – tak, jakby głowa biegła bezpośrednio na nogach” 26).

Potem jeszcze dopisał: „Oj, durna była ta młodość – to prawda. A po niej przyszła od razu łysina i emerytura” 27).

To łaska Opatrzności Bożej, że satyryk Kisiel po przeczytaniu jego książki nie zrobił mi wody z mózgu oraz że pod jego wpływem nie doznałem rozczepienia jaźni i nie zgłupiałem.

My starsze pokolenie, którzy lata dziecinne i młodość

przeżyliśmy w latach 1947 – 1958, przyjmujemy ze zrozumieniem i z pewnym uśmiechem sposób wystawiania satyryka Kisiela na temat przeżytej młodości i o panach w starszym wieku. Dziękujemy Opatrzności Bożej za przeżytą młodość w możliwie spokojnych czasach. A opatrznościowe „bicze Boże” dla naszego dobra doczesnego i wiecznego w postaci małych niepowodzeń życiowych, chorób, utraty bliskich oraz wielkiej troski a nawet bojaźni o przyszłość naszego Narodu i Kościoła, zahartują nas do przeżycia ostatnich lat czy nawet dziesiątek lat w łączności z Bogiem Stwórcą i Jego Matką Najświętszą.

Nie było żartów, trzeba się było przygotowywać do matury.

W połowie maja 1958 rozpoczęła się pisemna matura w II Liceum Ogólnokształcącym im. Marii Konopnickiej w Nowym Sączu dla dwóch klas: XI „a” i XI „b”. My maturzyści byliśmy tak zaabsorbowani ostatnimi egzaminami, że nie widzieliśmy świata zewnętrznego. Pamiętam z Łososiny Dolnej i z mediów powódź, ale dla mnie priorytetem był egzamin dojrzałości. Odświętnie ubrani i posileni szkolnym śniadaniem, w auli II Liceum usiedliśmy przy stolikach i najpierw pisaliśmy wypracowanie maturalne z języka polskiego. Korytarz przy auli był wyłączony z ruchu, stanowił „strefę zagrożoną”.

Porządku pilnował woźny Kociołek wystrzyżony na jeża, aby jakiś niepożądany intruz szkolnymi kanałami nie usiłował pomagać komuś w napisaniu maturalnego wypracowania. Koleżanka Ania D.-T. z perspektywy czasu mile oraz w sposób humorystyczny wspomina nastrój maturalny: „pustka w głowie, nic się nie umie, chyba nie

napiszę na żadne pytanie. Za to komisja egzaminacyjna bardzo uprzejma..” A potem – jak dodaje koleżanka Ania – „po wyborze tematu szare komórki mózgowie rozpoczęły pracować, ściągawki poszły w ruch – i napisało się”. Miałem ściągawki z matematyki, ale tylko dlatego, by podtrzymać „chwalebną” tradycję dawnych licealnych pokoleń. Ustną maturę zdałem 2 czerwca pamiętnego roku 1958.

Po maturze byliśmy bardzo dumni, że jesteśmy dojrzałą młodzieżą. Gdy do internatu szliśmy grupą, a spotkaliśmy młodszych kolegów, mówiliśmy do nich z pewną pogardą: „Z drogi, bo idą maturzyści!” Młodzi ustępowali nam miejsca, co nam imponowało, a my szliśmy dalej jako ważniejsi i mądrzejsi.

Była to nasza młodzieńcza duma, która nikomu nie zaszkodziła: ani młodszym kolegom, ani tym bardziej nam starszym. Tylko na pewno Pan Bóg się z tego śmiał i mówił: „O młodzi pyszałkowie! Nie myślcie, że jesteście tacy mądrzy. O, jak wam dużo brakuje. Przed wami jeszcze studia i wiele egzaminów”.

Opatrznościowy internat

Mój czteroletni pobyt w internacie sądeckim przy ulicy Długosza 17 (dzisiaj jest tam żeński internat), uważam za opatrznościowy, ponieważ tam razem z kolegami zahartowałem się do przyszłego życia kleryckiego a potem kapłańskiego. Ponieważ rodzice wychowali mnie do posłuszeństwa i szacunku dla przełożonych, dlatego łatwo mi było przyzwyczać się do spartańskich warunków w internacie oraz do obowiązującego tam regulaminu.

W internacie nie obce było dla mnie życie

w społeczności, ponieważ dzieciństwo przeżyłem w licznej rodzinie. Łatwo mi było praktykować solidarność koleżeńską, którą dalej rozwijałem w Seminarium Duchownym i dalej na miarę możliwości i sił staram się ją podtrzymać w kapłaństwie.

W internacie nigdy nie nudziłem się. Odrabiałem lekcje, uczyłem się, przepisywałem nuty, chodziłem na lekcje gry na akordeonie i na język angielski.

A nasze koleżeńskie życie czasem „na luzie” gdy „chata była wolna” bo kierownik wyjechał w świat, - toczyło się w ramach internackiego regulaminu i z poszanowaniem profesorów. Musieliśmy bardzo uważać, bo nasze „koncerty” na sypialni tj. gra na akordeonie i „perkusji” tj. na starym wiadrze, były uważane przez dyżurnych profesorów za nielegalne. Czasami były upomnienia z leczącymi karami włącznie, ale zaraz o tym zapominaliśmy, by pozbyć się stresów.

Nie zapomnę, jak kierownik internatu wczesnym rankiem przyjechał na rowerze, wpadł na korytarz i zawołał: „Wstawać gnoje..(chyba to było tylko raz, bo kierownik był wyjątkowo w złym humorze). Pomimo tej egzotyki internackiego życia, nabrałem szacunku do mojego wychowawcy i szybko przyzwyczailem się do dyscypliny. Zawsze otrzymywałem od niego pozwolenie na popołudniowy kurs nauki gry na akordeonie oraz na kurs języka angielskiego. Modlę się o jego zbawienie.

Jakież to były inne czasy, inna młodzież. Na roraty uciekaliśmy przez okno na parterze i susem mknęliśmy do kościoła św. Kazimierza.

Byliśmy przekorną młodzieżą. Gdyby nam nakazali

uczęszczać na roraty, nie wiem, czy byśmy chętnie brali udział w porannych roratach na zasadzie dobrowolnego przymusu.

Zaglądnąłem do starej Kisielewskiej książki kupionej w latach licealnych i jeszcze raz wyczytałem, że „przekora jest intelektualnym instynktem samozachowawczym. Ona rodzi konflikt, który mobilizuje i wyzwala dynamizm. Jest psychologicznym impulsem postępu” 28).

Wspominam prof. Franciszka Wiśmierskiego, który mieszkał w internacie razem z małżonką i córką nastolatką. Więcej baliśmy się żony Wiśmierskiego, aniżeli poczciwego profesora. Czasami weszła pani Wiśmierska na sypialnię, kiedy było za głośno i strofowała na swój kobiecy sposób. Czytelnik nam wybaczy, że byliśmy tchórzami i baliśmy się kobiety, ale nam to nie przeszkadzało. A jej pomogło, bo była zadowolona, że miała trochę uzurpowanej władzy nad internackimi małolatami.

Z ciekawości przeczytałem jeszcze raz o tchórzostwie napisanym przez Kisiela: „Tchórz z wyobraźnią działa więcej, niż odważny bez wyobraźni, bowiem wyobraźnia zmusza do aktywności, każąc tchórzowi szukać środków zaradczych i konstruować sobie schronienie. Wydaje się, że u źródeł ludzkiej cywilizacji technicznej stało tchórzostwo” 29). (Tchórz płynie ostrożnie, by nie utonąć, a odważny nie wyobraża sobie utonięcia – mój przyp.)

Jako osiemnastolatki nie zdawaliśmy sobie sprawy, że – jak pisze Anatol France- „w naturze człowieka leży rozsądne myślenie i nielogiczne działanie” 30).

Zdawałem sobie sprawę, że intencją internatu było wychowanie nas według ideologii marksistowskiej na dobrych synów Polski Ludowej.

Dla mnie ta ideologia była bardzo niestrawna. A że w licznej rodzinie wychowałem się po katolicku, dlatego mój intelekt odruchowo sam się bronił i odrzucał to, co na siłę narzucali ideologiczni agresorzy.

Byli w internacie starsi koledzy – „rozparzeni” liderzy – agitatorzy, którzy trochę liznęli wiadomości „o zdobyczach socjalizmu” i powtarzali do swoich rówieśników albo do młodszych kolegów o 3 lata: „Kolego, jesteście nieuświadomiony” (do mnie nikt tak nie powiedział). A gdy trafili na kogoś wymowniejszego od siebie i mądrzejszego, kwitowali powiedzeniem: „Bez dyskusji”. Te słowa „bez dyskusji” słyszałem wiele razy i tak ci „uświadomieni apostołowie” tkwili w ciemnocie propagandy socjalistycznej i ateistycznej. Dobrze, że tych „postępowych” uświadamiaczy było bardzo mało.

Uczyliśmy się przy dwóch długich i szerokich stołach. Około stu uczniów o różnych temperamentach na jednej sali, to nie mało. Nikt ze zdrowo myślących ludzi nie czekał na cud, aby na sali była cisza. W zasadzie porządku na sali pilnowali dyżurni-profesorzy. A gdy oni wyszli ze sali, wtedy wszystko wracało „do normalnego porządku” i „starzy” pilnowali „młodych”, z tym, że porządkowi więcej hałasowali niż „młodzi”.

Zaznaczam, że w opisywaniu wspomnień dotyczących życia dawnego pokolenia w latach 1947 – 1958, dawnych wiejskich zwyczajów, dawnej edukacji w szkole, jest trochę egzotyki, ale piszę z wielkim szacunkiem do dawnej polskiej wsi, dawnych ludzi, nauczycieli, naszych ojców, matek i dziadków. Po zniszczeniach, jakie przyniosła II wojna światowa, inne było życie na wsi, aniżeli dzisiaj. A mimo to, w dawnych ciężkich czasach, nieraz

w spartańskich warunkach, wychowało się wielu wartościowych, wybitnych ludzi.

Popatrzmy na starsze obecne pokolenie, które na pewno dziękuje Bogu, że wychowało się w czasach może trudnych, ale zahartowało się do życia w społeczności i jest odporne na wszelkie ujemne uwarunkowania zewnętrzne. Wiemy, w jakich warunkach przeżył dzieciństwo, młodość i dalsze lata – Ojciec Święty Jan Paweł II. A mimo to dojrzał do papiestwa i świętości.

Dzisiaj są inne czasy, inna szkoła, inne dzieci, inni rodzice. Obecne społeczeństwo domaga się, by dzieci w szkole były wychowywane bezstresowo. Z tym się zgadzam. Ale wolno mi postawić pytanie: czy dziewczyny i chłopcy wychowani bezstresowo, nie przyzwyczajeni do dyscypliny, punktualności, ofiary i wyrzeczenia, - będą dobrymi fachowcami na różnych stanowiskach, jakie w przyszłości obejmą.

Mam nadzieję, że młode pokolenie wychowane bezstresowo w obecnych warunkach przy rozwiniętej technice i cywilizacji „sprawdzi się” i wyrosnie z niego wielu mądrych ludzi, dobrych ojców, matek, mężów i żon.

Zwracam się do obecnego Pokolenia – Dzieci, Młodzieży i Starszych. Dziś macie lepsze warunki życia na co dzień – piękne domy z zadbanymi ogródkami, lepsze drogi, wygodne szkoły z nowoczesnym wyposażeniem, skomputeryzowany sprzęt, telefony komórkowe, internet, tablety, klimatyzowane autokary. Ale stanęliście przed nowymi problemami, wyzwaniem, zagrożeniami oraz niestety przed konsumpcyjnym trybem życia i oziębieniem religijnym. Czy sprostacie stojącymi przed wami

wyzwaniom? Bądźcie mocni w wierze, do czego zachęca nas Ojciec Święty Franciszek.

A moja radość będzie tym większa, im więcej będę miał czytelników. Niech Bóg w tajemnicy Opatrzności błogosławi nam będącym „w drodze” do pełni życia Bożego, a zmarłych obdarzy wizją beatyficzną w niebie.

Źródła

1. Encyklopedia PWN w trzech tomach, tom 2, s. 369.
Przykłady do kazań – skrypt 1960.
2. Roman Antoni Gajczak, Wadowice – miasto papieskie, Marki-Struga s. 70.
3. Encyklopedia PWN w trzech tomach, Warszawa 1999, tom 2, s. 852.
i tom 3, s. 844-845.
4. Zorza Świąteczna, Rok II, Nr 19/66, Warszawa 11 maja 1958.
5. Tamże, Rok II, Nr 25/72, Warszawa 22 czerwca 1958.
6. Dodatek do „Rzeczypospolitej”. Najnowsza historia Polaków, oblicza PRL, Nr 6, 18 grudnia 2007, s. 11.
7. Papież Jan Paweł II Mocny, życiorys-skrót, Kraków 2005, s. 11, 29, 30.
8. Tamże, s. 31.
9. Currenda, Nr 10-11, Rok 108, Tarnów 3 listopada 1958.
10. Tamże, Prawo Kanoniczne, Warszawa 1958, Nr 1-2, s. 1.
11. Wojciech Roszkowski, Najnowsza historia Polski 1945 – 1980, Warszawa 1983, s. 404
12. Dodatek do „Rzeczypospolitej”. Najnowsza historia Polaków, Oblicza PRL, Nr 6, 18 grudnia 2007, s. 11.
13. Wojciech Roszkowski, Najnowsza Historia Polski 1945-1980, Warszawa 1983, s. 379.
14. Janusz Tazbir, Zarys Historii Polski, Warszawa 1980, s. 754.
15. II Liceum Ogólnokształcące im. Marii Konopnickiej w Nowym Sączu.
Dzieje Szkoły pod redakcją Marii Kruczek, Nowy

- Sącz 2003, s. 116.
16. Tamże s. 117.
 17. Zorza Świąteczna, Rok II, Nr 6/53, Warszawa 9 lutego 1958.
 18. II Liceum Ogólnokształcące im. Marii Konopnickiej w Nowym Sączu.
Dzieje Szkoły pod redakcją Marii Kruczek, Nowy Sącz 2003, s. 112.
 19. Wojciech Roszkowski, Najnowsza Historia Polski 1945-1980, Warszawa 1983, s. 379.
 20. II Liceum Ogólnokształcące im. Marii Konopnickiej w Nowym Sączu.
Dzieje Szkoły pod redakcją Marii Kruczek, Nowy Sącz 2003, s. 103.
 21. Tamże s. 106. Maria Kruczek, na podstawie Archiwum szkolnego II Liceum Ogólnokształcącego im. Marii Konopnickiej w Nowym Sączu.
 22. Tamże.
 23. Tamże.
 24. Bolesław Prus, Katarynka, Warszawa 1975. Pan Tomasz mieszkał w Warszawie przy ul. Miodowej, który nie znosił grania na katarynce. Później stał się wyrozumiały, bo ślepa dziewczynka lubiała słuchać katarynki.
 25. Stefan Kisielewski, Rzeczy małe, Warszawa PAX 1956, s. 509.
 26. Tamże s. 311-312.
 27. Tamże s. 313.
 28. Tamże s. 513 i 520.
 29. Tamże s. 532.
 30. Anatol France (1844-1924) francuski pisarz. Jego powieści są przepełnione sceptycyzmem i pogodną

ironią.

Encyklopedia PWN w trzech tomach, tom 1,
Warszawa 1999, s. 650.

Aldona Rożanek, Mała antologia aforyzmów,
Być człowiekiem, Wrocław 2000, s. 19.

Autor ks. dr Tadeusz Wolak ur. 1939 r. – emeryt. proboszcz parafii p.w. Opatrzności Bożej w Jodłówce-Wałkach koło Tarnowa.

Kult Opatrzności Bożej był dla autora inspiracją do napisania pracy doktorskiej na temat „Katecheza o Opatrzności Bożej według polskich podręczników do nauki religii z XX wieku” oraz innych wypracowań (nie wszystkie publikowane):

1. Czy Opatrzność dopuszcza zło?
2. Antologia wybranych tekstów powołujących się na Opatrzność Bożą.
3. Pismo Święte o Opatrzności Bożej.
4. Jan Paweł II i Benedykt XVI o Opatrzności Bożej.
5. Opatrzność Boża w rzeźbie i malarstwie.
6. Autobiografia – na podziękowanie za kapłaństwo pod Okiem, Ręką i Skrzydłami Opatrzności Bożej.
7. Autobiografia – 50 lat po maturze 1958 - 2008 na tle wydarzeń w naszym kraju.

8. Monografie:
 - a) Dzieje wsi i parafii Jodłówka-Wałki.
 - b) Dzieje Szkoły Podstawowej w Jodłówce-Wałkach na tle wydarzeń w kraju i za granicą.
 - c) 90 lat Straży Pożarnej w Jodłówce-Wałkach oraz aneks na 100-lecie Straży Pożarnej.
 9. O nich trzeba napisać:
 - a) Piotr Wardzała w armii generała Władysława Andersa.
 - b) Władysław Stach – malarz i rzeźbiarz z Jodłówki-Wałek.
 - c) Marian Wardzała na żużlowym torze.
 - d) Maria Lisówna z Woli Rzędzińskiej na tle duszpasterstwa parafialnego w latach 70-tych i 80-tych XX wieku.
 10. Nasz Kraj Ojczysty w latach 1947-1958, zwyczaje i obyczaje na nowosądeckiej ziemi.
 11. 32 felietonów na łamach czasopisma „Nowiny Tarnowskiej Gminy”.
 12. 19 artykułów w tygodniku polonijnym „Kurier Chicago” w Ameryce.
- Ponadto do dorobku naukowego autora należą różne broszurki i foldery.